



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

CO ŻYCIE DAĆ MOŻE.

Poeta patrząc w koło siebie na ten świat nasz ziemski, pełen nieustannego ruchu, dążeń w strony jego różne, postawił sobie przed oczyma zagadkę istnienia tu naszego i woła: — Co jest życie, co użycie?... Walka z życiem, lub o życie... zabrzmiała mu z głębi jego myśli odpowiedź i nie mylił się on w tem bynajmniej, a na ileż to lat przed nim ludzie rozbiłali to zagadnienie. — Życie — mówił Hipokrates — jest krótkie, okoliczności usuwają nam niejedno z pod ręki, doświadczenie własne jest niepewnem a sąd trudnym... Lubbock, myśliciel angielski przypomina nam też mądrze w dziele swoim „Użytek życia,” zdanie tego starożytnego mędrca, który dodaje: „Przecież żyć musimy a każdy z nas żyjących wyciąga ramiona do szczęścia, lecz przedewszystkiem należy nam wiedzieć, że nie jest ono zawisłem od okoliczności, ale od nas samych.” Hipokrates wykazuje też dalej, że „więcej ludzi popadło w nędzę i ruinę przez samych siebie, niż inni zburzyli im szczęście: więcej miast, więcej domów stało się stosami gruzów przez rękę ludzką, niżeli przez burze i trzęsienia ziemi, największym też nieprzyjacielem człowieka jest sam człowiek.” La Bruyère wyraził podobnie smutne zdanie, że „jedna połowa ludzi pracuje na to, aby unieszczęśliwić drugą...”

Lubbock tłumaczy się przecież we wspomnianem wyżej dziele, że nie jest on bynajmniej optymistą, wie jakie są doświadczenia, smutki, boleści życia i pisze: „Nigdy oczy moje zamkniętymi nie były na troski i trudy istnienia ludzkiego, nigdy nie dowodziłem, że ludzkość jest szczęśliwą, ale przekonaniem to jest mojem, że przeważnie jest to jej wina, bo większa połowa ludzkości odrzuca własnowolnie

szczęście. Nieszczęście powstaje w znacznej części ze złego użytku szczęścia, ze zbytecznego pragnienia szczęśliwości bez granic. Koło maszyny, a nieraz nawet gwoździć jeden złe przystosowany do całości, rozstraja tę maszynę, psuje ją i tak jest z losem człowieka. Odwaga może się stać szalonym zuchwalstwem, miłość słabością, oszczędność skąpstwem, bo są na wszystko prawa, których lekceważyć nie można. Człowiek nieraz upada i łamie nogę, ale skutek to jest zawsze nieposzanowania praw ciężkości: granic, które mu są przeznaczone.

Ludzkość w zaraniu młodości swojej przypisywała dolę lub niedolę działaniom sił tajemniczych, dziś już przecież człowiek powinien wiedzieć, że we własnej jego mocy jest szczęście posiadać, lub je utracić na zawsze — że nieszczęście rodzi się z fałszywego poglądu na życie, z fałszywych pojęć tego, co nas podnosi, lub obniża, czyni dostojnymi, lub nędzną i pełzającymi przy ziemi. Każdy z nas ulega im mniej więcej, bo tkwią one niejako w naturze ludzkiej, a przecież zawiera się w nich żywioł bardzo niebezpieczny, bo popełniając małe błędy przywykamy z wolna do tego, co jest nieprawidłowym, co z dobrem się zmija i Lubbock nie raylił się bynajmniej przestrzegając, abyśmy pod tym względem właśnie rozwijali nad sobą baczność największą i pisze też: „Smutna to jest rzecz pomyśleć, jak ludzie nie umieją uchwycić tego, co może im przynieść szczęście i jakżeż powierzchownie sądzą nieraz o tem, na czem ono polega...” Do warunków szczęścia, zalicza on to, abyśmy umieli wybierać na podporę szczęścia te przyjemności, te słodycze życia rzeczywiste, które posiadają moc uszczęśliwiania nas nie powierzchownie, nie przemijająco. Za podstawę tego stanu, uważa on zdrowie, bo zależnym jest od tego układ naszego życia, więc ruch jego czynny i rozbudzający nam w piersi pragnienie pełnego używania tych rzeczy rozmaitych, które przyjemnościami nas darzą.

Czy umiemy przecież wyzyskiwać dostatecznie tę możność wytwarzania sobie takich podpór szczęścia?

Lubbock pyta ile jest w Londynie ludzi, którzy zwiedzają galerie sztuki, których zajmuje rozwój nauk, to jest wiedzy człowieka o tem, co życie dać mu może, którzy uczeszczają do instytucyi, rozszerzających światło i cieszą się ich postępem, którzy odczuwają piękno przyrody? Podnieść oczy na jasny błękit nieba, upajać się wdziękiem harmonii, którą otacza nas natura, czyż to nie rozkosze i ten, kto zdolnym jest jej używać, czyż nie ma chwil życia wdzięcznie miłych? To samo już że człowiek posiada zdolność takiego oderwania się od codziennej pańszczyzny materialnego życia, darzy istnienie jego na ziemi tysiącem nie dających się obliczyć rozkoszy, jakkolwiek cynik, zapytać może, czy ta zdolność odczuwania piękna, ta miłość i tęsknota do niego, nie rozbudza mu też w piersiach pragnień niezaspokojonych, pożądań, które skutku nie biorą? Czy zatem nie jest to raczej nędzą niż bogactwem człowieka, że posiada te porywy, unoszące jego wyobraźnię po za krańce rzeczywistości? A jednak nie ma chyba nikogo, któryby chciał się zrzec tych przywilejów swoich, któryby chciał zejść na poziom istoty bezmyślnej, rządzącej się jedynie instynktem.

A przecież pomimo to nie umiemy wyzyskać tych wszystkich stron naszego istnienia, któreby nas darzyły szczęściem i Newton patrząc na życie ludzkości rzekł ze smutkiem, że człowiek jest jak dziecko, bawiące się nad brzegiem morza ładnemi muszelkami. Potrzeba nam, aby nie pojedyncze osobistości, ale ogół cały dowiedział się i zrozumiał co należy wiedzieć nam o życiu, czego od życia żądać możemy, nie w powierzchownych, nie w materialnych jego darach, ale w tem, co grunt istnienia naszego tworzy. Descartes zawarł to w stosunku do praktycznych stron życia w czterech maksymach, a to, aby każdy z nas poddał się religii, którą wyznaje i prawom społeczeństwa, którego jest członkiem, aby w każdej potrzebie życia, które wymaga czynu, działał nie odwołując się do rzeczy, a przecież nie bezmyślnie, z poczuciem odpowiedzialności moralnej względem siebie i ogółu, aby szukał szczęścia w ograni-

czeniu szlachetnem potrzeb swoich, aby poszukiwanie prawdy było najwyższem zadaniem jego życia.

Jedna z postaci, które stworzyło pióro Lubocka, Lilly, takie rady otrzymuje od niego:—Bądź wesołą, ale skromną, bądź w myślach odważną ale nie zuchwałą. Niech wolne od pracy chwile, stają ci się dobrze obraną rekreacją; nie podejrzewaj ludzi o złe myśli i zamiary, ale miej przekonania własne i stój przy nich silnie, służ Bogu, kochaj Boga, a On ci będzie opiekunem łaskawym i życiu twojemu nie zabraknie chwil słodkich... Szlachetnie piękna jest też uwaga, iż szczęście, oraz to co nazywamy w życiu pomyślnością, nie opiera się bynajmniej na majątku i nieraz ludzie bardzo bogaci są zarazem bardzo ubodzy, bo nieszczęśliwi. Nie każdy może sobie zdobyć bogactwo, honory, urzęda... twierdził Vauvenargues, ale każdy, może być dobrym, wspaniałomyślnym; prawdziwe bogactwo, nie polega też na tem, co posiadamy, ale jaki użytek czynimy z majątku naszego. Takt jest każdemu z ludzi wielce potrzebnym, potrzebniejszym, niż talent wszelki; umieć odgadywać co komu jest miłym i w stosunkach z ludźmi rządzić się tą wiadomością, to torować sobie drogę do ich życzliwości. Uprzejmość, grzeczność, pozyskuje nam więcej przyjaźni ludzkiej, niżbyśmy ją sobie zdobyć mogli największymi skarbami.

— Nie opuszczaj nigdy sposobności uczynienia komus przyjemności, bądź grzeczną dla wszystkich—mawiała do córki młodej lady Montaigne—nie kosztuje to nas nic, prócz dobrej woli, a pozyskuje nam to, czego za żadne pieniądze nabyć nie możemy... Angielski mąż stanu Burleigh, dowodził też królowej Elżbiecie, że gdy pozyska sobie serca ludzkie, mieć będzie wszystko, czego pożądać może, poczynając od tych serc, aż do kalet z gwineami, lecz dodał zaraz obok tego przestrożę francuzką: „pas trop gouverner...“ Należy nam też tak postępować w stosunkach wszelkich,—należy nam zarazem zasługiwać sobie na zaufanie tych, z którymi przestawać mamy i pozyskiwać sobie ich życzliwość, ale niech się to nie dzieje kosztem godności naszego ducha, zmiany pojęć naszych o życiu i przeznaczeniu człowieka. Shakespeare zostawił to ludziom, jako radę potrzebną, aby umieli rządzić dobrze życiem swoim: „Staraj się czynić zadosyć pragnieniom bliźnich twoich tak daleko, jak tylko na podstawie rozumu i prawa moralnego dążyć do tego może, ale nie lękaj się zawołać w potrzebie surowo: nie...“

Przystawać na wszystko, co od nas żądają, jest słabością ducha, jest brakiem jego energii, łatwiej nam to jest, przyjemniej, czy przeciw korzystniej? Lubock przytacza czerpane z Plutarcha przykłady, jak kraje, narody przepadały przez tego rodzaju miękkość, która jest słabością, tchórzostwem ducha, jest brakiem jego energii, bo jeżeli tylko takt rozumny będzie przewodniczył odnowie, nie stanie się to zerwaniem węzłów, które powinny łączyć ze sobą ludzi. Lubock wykazuje, jak przy stałych przekonaniach, przy silnym charakterze, można sobie pozyskać życzliwość i miłość ludzką wraz z tem uszanowaniem, jakim nigdy nie darzymy tych słabych, tych miękkich, którzy na wszystko przystają. Nicieści to są i jako takie zaważyły one nie mogą na szali życia, poważnie pojmowanego. Trzeba nam posiadać odwagę naszych przekonań, choćby to nawet sprzeczało się z otoczeniem naszym; każdy z nas odpowiedzialny jest przed Bogiem i społeczeństwem za to, co czyni i nikt też nie może tu kłaść nacisku, żądając abyśmy zmienili pojęcia nasze. La Bruyère nazwał to wielką nędzą „une grande misère,“ jeżeli człowiek dorosły, nie zdoła mieć ugruntowanego sądu o życiu, jego celach i owocach, jakie z niego zbierać powinien, ale nie znaczy to bynajmniej, abyśmy żyjąc nie uczyli się przez wpływy życia: przez wzory, które przedstawia, co jest godnem czei i naśladowania, od czego stronić nam należy. Ten wybór, rozstrzyga o tem, co życie dać nam może, a raczej, co sobie z pośród tego wybrać potrafimy. „Gracye stają nam tu do pomocy zarówno, jak Muzy,“ pisze Lubock, bo wie on, że człowiek potrzebuje pewnych upiększających istnienie jego wpływów, aby nie stał się posępnym i ciężko brzemię swoje dźwigającym. Z Horacego wziętem zdaniem zakończy on też rzecz, że Gracye powinny przewodniczyć życiu człowieka.

M. I.

Z motywów ludowych.

Gdy z krynicy bierzesz wodę
Pamiętaj nie kłócić...
Jeśli kochasz mnie biednego
Pamiętaj nie smucić...
Łatwo zmacić wodę czystą
Trudno uspokoić,
Łatwo sercu zadać ranę
Nielatwo zagoić...
Gdy w krynicę rzucisz kamień
Na dnie już zostanie,
Gorzkie słówko wpadnie w serce
Zagłuszy kochanie.
W czystej wodzie złote słonko
Odbija się cudnie—
Czyste serce—zacna dusza
Kocha nie obłudnie,
Nie mać wody, bo się słonko
W mętnej nie odbije...
Nie drażń chłopca... nie smuć duszy
Miłość w zgodzie żyje.
Ile kropel w czystym zdroju
Czy zliczyć kto w stanie—
Tyle szczęścia daje w życiu
Prawdziwe kochanie.
Lecz ostrożnie z sercem dziewczę...
Nie igraj płochliwie,
Jeśli kochasz, to nie żartuj,
Lecz kochaj pocziwie.
Gdyby brakło wody w zdroju
Cóżby wtedy było?...
Gdyby miłość zgasła w życiu
Cóżby szczęściem lśniło?...
Więc gdy kochasz, nie smuć proszę,
Ból się trudno goi...
Nie mać wody, bo nie prędko
Znów się uspokoi.
A kto kocha jak należy,
Pragnie wiecznej zgody...
A kto pragnie pić ze zdroju,
To nie mać wody.

Jadwiga z Ż. S.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

X.

Julia umierała.

Poprzedniego dnia doktorzy zapewniali o polepszeniu, a rankiem, po nocy, zanim przybył znów zdażyli—przy łożu miejsce ich zajęła śmierć.

Na świecie deszcz ustał, lecz niebo nie rozpogodziło się. Smutne, zmęczone, zdało się na chwilę tylko drzemać w odpoczynku, by znów, po łez wylanych obesznięciu, nowymi spływać.

Obraz śmierci, na jaki spojrzeć zamglony dzień, mógł płacz wywołać w chmurach, bo w oczach ludzkich nie znajdował łez...

Po powrocie pani Starskiej do domu i pojednaniu, które nastąpiło zaraz pierwszych dni Września, gdy Adam przemógł się i pojechał po żonę do Horzelewa—pożycie obojga małżonków zdawało się układać pomyślniej i łatwiej, przynajmniej bez burz.

Julia właściwie rozstania nie chciała ze wszystkich względów; gdy więc przeszła przez próbę tej groźby, a odzyskała dawne stanowisko, starała się cokolwiek więcej własne postępowanie nagiąć do upodobań i woli tego, który niejako losy jej trzymał w ręku, i usiłowała choć w drobnostkach go nie drażnić.

On zaś jak wulkan po wybuchu, przycichł z samego porządku rzeczy. Przytem widać było, że chce się hamować, że sam poniekąd ulega sile niewidzialnej, czy postanowieniu powziętemu, które trzyma go w swej mocy; może i przez ambicję lub konsekwencją unikał w obec świadków starę po świętem, głośnem pojednaniu? Dość, że zatamował porywczość; nieraz przygryzł szorstkie popędliwe słowo na ustach, nieraz ruch zdradzający niechęć wół przełamał. Zresztą żywość jego usposobienia w czem innem znalazła szerokie ujście. Wziął się do pracy z zapałem, jak gdyby naprawdę odzyskiwać miał zachwiane, już z rąk wymykające się miennie; zerwał rozpoczęte układy sprzedaży, zmienił przy młynie dozorcę, który nie dość sprężystym się wydawał i wspominał o stawianiu tartaku na wiosnę.

Pozory tedy, a nawet i fakty mogły się wydawać zadawalającymi. Lecz właściwie w bliższych stosunkach nie zaszły zmiany na lepsze. Adam nie okazywał Julii równie jak dawniej ani żdźbła tkliwości, przeciwnie: wszystkie nikłe, lecz uchwytnie drobnostki, które niepodpadały pod uwagę obecnych, subtelne odcienia w spojrzeniu, w intonacji głosu, wskazywały, że między sobą a żoną kładł jeszcze głębszy, już może nieprzebyty przedział; to jest obojętność tak pomijającą, bezwzględna, że nawet gniew i popędliwość nie zdołały jej przełamać. Coraz częściej ocierał się koło Julii tak chłodno, bez uwagi jak wówczas, gdy po raz pierwszy zawyrokował: że nie wspólnego między nimi być nie może.

Za to miłość dla Jani rozgorzała w nim jeszcze silniej; zdało się w prąd swój pochwyciła całą gorącość jego temperamentu, całą tęsknotę serca osamotnionego zdawna. To też w miłości tej dźwięk rozpacz się pogłębił, jak w kurezu rąk tonącego, któremu wszystkie gałęzie w palcach się połamały, krom tej ostatniej.

Po każdym powrocie z pola czy młyna do domu. Adam szukał dziewczynki natychmiast i do swoich pokojów ją zabierał, na kolanach trzymał, w rączki, w oczy, w usta całował, pieszcząc namiętnie; i przez całą pogodną jesień zabierał z sobą na bliższe wyprawy po gospodarstwie. Wprost, sadzał dziecko na ramieniu i z głową drobnymi rączkami oplecioną, szedł często zamyślony tak, jakby nie po swojej stapał ziemi, gdzie każda bruzda głębsza lub płytsza, każda zmiana barwy i bujności powinna była zwracać jego uwagę; lecz jak gdyby tym wygnaniem był, jakim zostać chciał na obczyźnie—i nie już nie miał w świecie drogiego, prócz skarbu, który na barkach niósł...

Gdy więc Julia dnia jednego nie przyszła do śniadania i obiadu, zauważył jej nieobecność, jako rzecz niezwykłą i zapytał co porabia, lecz bez przejęcia najmniejszego.

— Leży? A czemu?

— Słaba.

Już więcej Teresy nie badał.

Gdy na drugi dzień się nie pokazała, znowu zagadnął:

— Jeszcze chora?

— Tak, gorzej. W nocy miała gorączkę silną, w piersiach bóle.

— Więc dlaczego mi nie mówicie?—rzucił z wymówką.

Choroba jej była rzeczą niezwykłą, zastanowiła go. Nie chciał być gorszym względem żony, niż dla podwładnych i oficjalistów. Przytem, niezgasłe na dnie duszy poczucie sprawiedliwości może bezwiednie ożywało w nim i popełnić chciało do pewnych zadosyćczynień, wprost w granicach najpewniejszych obowiązzków.

Natychmiast tedy posłał do miasta po doktora. Ale do żony jeszcze nie zajął. Dopiero w godzin kilka wszedł do jej pokoju z lekarzem.

Na drugi i trzeci dzień wchodził tam z dwoma. A gdy po godzinnej wizycie odjeżdżali, zapytał.

— Może panowie życzyć sobie wezwać jeszcze którego z kolegów, to proszę niech się nie krepować. Drugi powóz z chęcią wysłać...

W głosie jego brzmiała wspaniałomyślna uprzejmość, ale czy w sercu była przychylność, czy obawa?...

Jednak chwilami wyraźnie zdejmował go niepokój. Dusza jego stawała się widownią walk sprzecznych myśli, i sprzecznych uczuć. Chłodna martwość, w jaką się przyodziła, nadpękała. Zachodził do pokoju żony częściej, nie tylko z obowiązku przyzwyczajenia, raz poraz zwracał na nią wzrok pytający, — a zamyślał się głęboko.

Od paru tygodni zauważył, mimo wszystkiego, że Julia z coraz większym poddaniem i jakby pewną godnością przyjmowała jego nowy system postępowania i obejścia, co było dowodem niejakich zmian w niej, których się nie spodziewał.

Podezas choroby też nie skarżyła się, nie dopominała o nic; za każde jego zbliżenie wdzięcznym wzrokiem dziękowała. Może więc tem rozbrajała go, poruszała w nim struny uczuciowych, szlachetnych popędów, które budziły w sercu wyrzut o zaciętość, lubo ścierały się z wprost przeciwnymi, samolubnymi pragnieniami.

Bo jednak — jednak gdyby miał odzyskać wolność?! — Nie! Myśl ta była wyrazem zbyt gorących pożądań, a równocześnie wydawała się zbrodniczą. Więc spychał ją w głąb, w ciemność, odtrącał — zakryć chciał biernym zdaniem się na los. Tylko, jakby czując odrazu na sobie odpowiedzialność za to występne pragnienie, starał się gorliwiej spełniać swoją powinność.

I znów po dniach paru proponował liczniejsze konsylium.

Lekarze jednak odmówili.

— Poradzimy sami... zresztą zobaczymy jutro — odparli.

Tymczasem to jutro namysłu ich, ani pomocy nie pożyło.

Po bezsennej, pełnej widziadeł nocy, chora się zdrzemnęła.

Wierna nie spoczywająca na chwilę Teresa, drzwi przytknęła cicho i poszła gospodarstwem się zająć.

W domu przez tych dni kilka nie było wielkiego zamętu i niepokoju. Zarząd nie cierpiał na zastępstwie, bo Teresa właściwie z większym ładem wszystko prowadziła. Służba zaś dla swej pani nie miała ani gorącej przychylności, ani szczerego poszanowania.

Zresztą otoczenie całe odczuwa poniekąd rodzaj tajemnych węzłów, jednoczących ludzi pomiędzy sobą; i wszystko bezświadomie ale odpowiednio do tonu się nastraja. Więc nikt wielkiej trwogi nie doświadczał. Co prawda nikomu też i do głowy nie przychodziło, aby kobiecie młodej i silnej tak łatwo mogło zagrażać niebezpieczeństwo. Przenikliwość niejednokrotnie w sercu potrzebuje czerpać źródła.

Pocziwa Teresa, choć przywiązana szczerze do Julii, z usposobienia jednak mało trwożliwa i nieprzewidująca, z całym spokojem wydawała kucharzowi na obiad porcję mięsa i masła, a nawet i ściśle odliczone kawałki cukru i jabłka na leguminę. — Pan we młynie był, jak zwykle rankiem; dzieci w swoim pokoju. Hektor na skórze leżał z boku pod piecem i sapał, raz jedno, raz drugie oko leniwie otwierając.

A tam — do pokoju chorej, przez dolne szyby okna, wyzierające z pod uniesionej trochę firanki — szary przyćmiony dzień zaglądał, i mdły blask rzucał na lica, oblekające się bladeścią skonu.

Jedno głębokie, z całych piersi westchnienie uleciało przez usta nieruchomie na posłaniu spoczywającej kobiety. Silna była istotnie, w ramionach szeroka i pełna; choroba kilkodzienna nie zdołała czerstwości jej ciała strawić — więc śmierć wydawała się tu bezprawem. A jednak bezwład poraził nagle serce jej, czy płuca — krwi odebrał moc ruchu, a bryle ciała iskrę życia. Westchnęła, jak człowiek zrzucający z barków ciężkie, ugniatające dotkliwie brzemię — i w samej rzeczy zyskała wolność, świat porzuciła.

Umarła dla wszystkich i dla siebie niespodziewanie. Gdyby była mogła powstać, byłaby niezawodnie sama wykrzyknęła zdumiona: „czyż ja umrzeć mogłam?“

Skonała oto, jak gdyby ulegając wpływowi niedostrzegalnej siły przeciwmagnetycznej, która zamiast pociągać do życia i czynu, zamiast podtrzymywać, spychała w grób i zniszczenie.

Ale umarła!

O ile zaś choroba jej przyjmowaną była mniej więcej zwyczajnie, o tyle śmierć wstrząsającą wywołała wrażenie.

Pierwsza stwierdziła ją Teresa.

Gdy powróciła od gospodarstwa — podsunęła się pode drzwi.

— Cicho? To dobrze — snem się pokrzepi; całą noc nie zmrzyla oczu.

Gdy w pół godziny z pokoju dzieci przyszła razem z Janią, która napierała się mamie powiedzieć „dzień dobry“ znowu stanęła pod drzwiami, dziecku palcem przy ustach nakazując milczenie.

Długo słuchała... Ani oddechu, ni szmeru? Zastanowiła się, lecz jeszcze nie strwożyła; odeszła.

W parę minut jednak nasłuchiwała raz trzeci — i wreszcie na palcach do sypialni się wsunęła.

A dzień, już rozwidniony zupełnie po tej godzinie przeszło dziesiątej, z poza chmur, miejscami rozdartych, żółto-martwym blaskiem wyjrzał i na twarz chorej się odbił.

Teresa przeleżała się nagle, a wielce żywo pochyliła się nad łóżkiem i niemal ucho do bladych ust przyłożyła.

Porwała rękę — ręka opadła. Krzyknęła — słuch śpiącej się nie zbudził, powieki nie podniosły...

Więc z krzykiem prerażenia okropnego z pokoju wybiegła i przez inne pędziła, strachem gnana, do kredensu, do kuchni, do ludzi. Jania płaczem wybuchła i rzepiąc rączkami goniła za nią. Pies się zerwał, grzbietem kudłatym wstrząsnął i głucho zawył.

W minutę popłoch powstał we dworze i na podwórku — ciżba sług zapełniła kuchnię, tłoczyła się do pokoju.

Odsłonięto okno — gospodyni dłoń przykładła do serca zmarłej, panna służąca do ust zwierciadło, a za rękę chwytały obie, szukając pulsu. Okrzyki przestachu i zdumienia rozbrzmiewały wokół.

Janina płakała tak rzewnie, snadź przecuciem odgadując bolesną prawdę, że w końcu lokaj, wierny sługa pana wziął ją na ręce i do dzieciennego pokoju przeniósł, aby zabawić.

Teresa była jak nieprzytomna.

— Pana sprowadzić! Pana!... Jezus Marya! — wykrzyknęła wreszcie, porywając się za głowę. Potem wypadła do jadalni i chodziła dokoła stołu w głos rozpaczając nad tem, że wydawała na obiad, że myła się, cesała, ubierała dnia tego, czyli dla marnych zajęć opuszczała chorą, którą może nieustającą czujnością byłaby zdołała uratować.

Gdy Adam szybkim krokiem wszedł w brew zwyczajowi prosto przez ganek i przedpokój do jadalni — blade był, jak gdyby i z jego twarzy ostatnia krwi kropla ściekła.

— Umarła?! — zapytał głucho, niedowierzającym wzrokiem przeszywając Teresę.

— Umarła?!...

Ramiona w górę wznosił, pierś wdał i do pokoju żony podążył. Chciał widzieć sam, przekonać się, dotknąć.

Na odgłos jego kroków służba rozpierzchała spłoszona, chyłkiem bokami zmykając.

On zaś próg przestąpiwszy niewielkiej sypialni, drzwi machinalnie za sobą przytknął; przystanął, wzrok zatopił w białą pościel, naprzeciw umieszczonego łóżka i w zbiegła, nieruchomą postać leżącą.

Taki ucisk poczuł na piersiach i duszność, jak gdyby przestrzeń tych kilku kroków oddzielających go od niej zapełniała powietrze ściśnione, tęgie, sprężyste — z oporem stali odychające od łóżka. Nie był zdolny uszyść się, drgnąć, przybliżyć.

Widział przecież rozwiązane te więzy, których ciężar tak nieznośny ucuwał; mimo to nie doświadczył ulgi i radości. Przeciwnie: przestach zdejmował go, jak gdyby pragnienia ukryte w duszy, za śmiało na jaw się dobiły i za nagle stały faktem, a jego obarczały odpowiedzialnością.

— Umarła?!... Nie! niepodobna! — Przychylił głowę, jak wół mimo buntu już przyzwyczajony do jarzma.

I tak stał, patrzył — patrzył, może chcąc wtłoczyć w umysł to pojęcie które się tam nie mieściło.

Wreszcie napowrót za drzwi wyszedł ciężkim krokiem.

Czapkę włożył w korytarzu na głowę, na uszy mocno nacisnął — i do ogrodu zakreślił. Z tamtąd puścił się boczną drogą ku polom — i szedł naprzód, wcale nie postrzegając ile za sobą odkłada przestąpienia.

Nogi grzęzły mu w błocie, w liściach zeschłych, nadgniłych i w rozmiękłych trawach. Wiatr, drzewami poruszając, otrząsał na głowę jego i ramiona ciężkie, grube krople, ociekającego po gałęziach deszczu.

Nie nie czuł, nie nie widział.

Wolność, tak nagle odzyskana, coraz bardziej rozsadała mu pierś i mózg. Wiedział, że nie tajemne życzenie śmierci jakim niejednokrotnie obdarzał żonę w zniecierpliwieniu lub rozstroju, zabiło ją teraz. Mimo to poczucie jakiejś własnej winy wzrastało w nim. Z ulgą i zadowoleniem myślał o tem, że nie żałował jej ratunku i pomocy; — ale to nie uspokajało.

Poczęła korcić i gniewać go nawet jej uległość z ostatnich czasów. Przypominał sobie, że nie nie żądała, nie sprzeciwiała się, nawet Janię ciągle odsyłając do niego. Co więcej: niemal widział jej spojrzenie, podczas choroby nie raz zwrócone ku niemu ze smutkiem i oczekiwaniem...

Tu zdjął go wstyd: — wiedział doskonale, że troskliwość, która przywoziła go do jej łóżka, czerpała źródła w niepokoju myśli, nie w tliwosci serca.

W ślad zatem począł też uprzytomniać sobie inne własne przewinienia i zaniedbywanie obowiązków względem tej, którą uczynił żoną i matką. Niemal też gniew go chwycił o to, że nie odrobić się nie dało.

Ale ten gniew w jednej chwili przetopił się w żal, w nienawiść, i począł rzucać się na okoliczności, na ludzi, a zwłaszcza na tę, która w oczach jego stanowiła główną przyczynę złego.

— Czemu taką była, nie inną?... — myślał, przypominając sobie wszystkie jej wady, nekające go moralnie. — Czemu nie odeszła pierwszego roku, pierwszego miesiąca?... Czemu tyle życia zmarnowałem?...

Lecz tu głos inny wołał równocześnie:

Wszakże masz wolność teraz i przyszłość przed sobą, — a ona śmierć — nie bluźnij!...

W końcu też w duszy jego wrzał istny odmet, oszałamiający mózg, targający całą istotą.

Przystanął, wsparł się o płot, i patrzył.

Potem objął dłońmi cienką żerdź, ścisnął kurezowo, kolanem przygiął, przygniótł — i z trzaskiem na dwoje złamał.

— A!... wszystko to już minionie! — rzucił, otrząsając się ruchem dzikiego lwa, który stargał więzy.

Czapkę zdjął, ręką zwilżoną powiódł po czole, a oczyma po niebie.

Świat wydał mu się tak rozległym i swobodnym, jak człowiekowi, który po długim śnie czy zapomnieniu, trzeźwieje, — i dopiero poznaje, że oprócz ziemi, po której w znoju stąpa i orze, są wielkie, wzrokiem niedościgłe przestrzenie...

Lżejszym, równiejszym krokiem powracał; w ryśach miał spokój.

W korytarzu spotkał pannę Teresę.

— Tak wyszedłeś niepostrzeżenie... Po Stefanową do Horzelowa posłaliśmy... lecz co dalej czynić? nie wiemy... — poczęła narzekać płaczliwym tonem i z wymówką.

Adam spojrział, przytomniejąc.

— Prawda!... Co czynić?... Wcale nie pomyślał o tem...

Zastanowił się, wstrzymał, jakby teraz dopiero spotykając się z rzeczywistością, i do pokoju żony zawrócił.

Cicho pchnął drzwi.

Pomarańczowe płomyki świec, zapalonych w głowach łóżka, przy dniu jasnym, przedewszystkiem wzrok jego uderzyły pierwszym konkretnym wrażeniem śmierci, które potęgowała każda chwila.

Ciało Julii wydawało mu się bezwładną bryłą silnie zagłębioną w pościeli, oczy zapadniętymi. Szarobłękitne światło dnia łamało się z żółtym blaskiem gromnie, sinymi cieniami na licach, zwiększając

szając przejrystość trupa. Rysy miały nieruchomość posągu. Lekkie zaś pochylenie głowy na ramie i obojętne opuszczenie rąk, było istnym wyrazem onej bezbronności zmarłego w obec żyjących.

Tak—śmierć tu była, i śmierć rozpostarła nawet na czole i ustach zmarłej spokój, który świadczył, że dość chyba odpokutowała za życia wszystkie swe winy...

Adam wpatrywał się w nią z wielkiem nateżeniem nerwów. Już nie ogłuszał go huk własnych wzburzonych uczuć, więc widział i rozumiał. Mimo to obejrzał się, jakby szukając choć jednego człowieka świadka, któryby słowem potwierdził prawdę.

Dokoła wszakże było pusto. Nikt nie śmiał za nim przestąpić progu.

Bezwiednie więc, niezrozumiała siłą popchnięty, podszedł do łóżka i ujął rękę zwisłą bez władzy. Może powodowała nim jakaś moralna pobudka, a może chęć dotykającego poznania rzeczywistości.

I wstrząsnął się.

Zimno marmuru poczuł w zetknięciu. Skostniałe i sztywne palce, nie odpowiadając uściskom, zdały się mówić: „zostaw mnie...”

Puścił je i odsunął się natychmiast. W duszy jego raz jeszcze rozległo się: „Umarła!...” Ale już tylko dźwiękiem niezmiernie powagi i uroczystości, jaką śmierć zawsze przynosi z sobą.

I nagle—w pokoju tym, gdzie przed godzinami dwoma widział tylko istotę, której nie cierpiał, a przed chwilą tylko cielesne jej szczątki—teraz odczuł nieujęty, wielki majestat ducha, który zdał się sobą przepełniać powietrze i prawie rozsuwać szczerpłe ściany, a wyższością i potęgą nakazywać zapomnienie wszelkich uraz, nieporozumień, żalów, wszystkich błahostek życia, jak pył marnych w obec skonu i wieczności.

I duszę Adama naraz przeniknęła dziwna potrzeba ukorzenia się przed czemś, czego nie rozumiał jasno, czemu tem mniej zdolny był nadać miano, a co jednak pokonywało go i wszelką oporność w nim łamało.

Mimo woli i wiedzy przygiął kolano—głowę pochylił...

Gdy powstał, cicho, ostrożnie wysunął się za drzwi, i szereg pokojów następnych przeszedł na palcach, jakby ciągle uczuwając obecność tego czegoś, co poszanowanie nakazywało.

Pusto było wszędzie. Dopiero u Teresy zastał gwar, rozmowy i płacze.

Pani Stefanowa Horzelowska właśnie przyjechała i z głośną rozpaczą okrzykiwała stratę krewnej. Na widok Adama przycichła.

On zaś podszedł ku niej powolnym krokiem, jak inny człowiek, i rękę jej z powagą pocałował.

— Zajmijcie się jej ubraniem, proszę was,—powiedział z cicha i łagodnie do obu kobiet.

— A gdzie Jania?—zapytał potem.

— W oficynie; tu bardzo płakała...

— A—Cesia?...

— Obie razem...

Zamknął drzwi i do oficyny, o kroków kilkanaście za dworem, podążył.

W tej chwili miał mózg jakby przytępiały, serce niejako zakrzepłe, wskutek wyczerpania siłnemi wstrząśnieniami. Dalekim był od roztkliwień. Nie pomyślał nawet, że śmierć matki, choć by niepozbowionej pewnych wad i zarzutów dla dzieci jest wielkiem nieszczęściem.

Gdy wszakże stanął na progu dużego pokoju, dokąd nierzad przenoszono dzieci dla zmiany powietrza—został na miejscu przez chwilę i oczu nie odrywał od dwu dziewczyn, na podłodze bawiących się przy piastunce.

Naraz posłyszał w duszy:

— „Sieroty!...” „Sieroty!...”

Zdawało mu się, że przedtem dzieci tych nigdy nie widział w takiej zgodzie, niemal przytulonych do siebie.

Zamyslił się, zapatrzył—jednak obejmując wzrokiem starszą i młodszą.

Głos Jani wyrwał go z odrętwienia.

Pleckami do drzwi zwrócona, mimo zabawy, smutnie powtarzała jeden wyraz: „mamo” — „mamo...”

Żalność brzmiąca w tem wezwaniu, jak gwóźdź zaświdrowała mu w sercu.

— Janiu... cicho!... Mama nie wróci! — rzekł śpiesznie, by zamknąć usta małej. Lecz wzdrygnął się na echo tych wyrazów.

Dziewczynka tymczasem przechyliła główkę.

— Tatyś!—Zawołała serdecznie choć bez uciechy. Poczem zwołna się podniosła, spłakaniem zmęczona i pogarnęła ku niemu, jak zbiedzone piskle.

W twarzy Adama drgnęły mięśnie.

Pochylił się, wziął dziecko w ramiona, otulił sobą, gorąco cisnąc do piersi.

Oczy miał zaszkłone, poczał jednak poglądać niemi ku młodszej. Jakaś głucha walka rozgrywała się w jego duszy.

Ruszył się jednak i podszedł do małej, którą nianka już na rękę trzymała. Spojrzał — i krew ciemną purpurą oblała mu lica, oczy rozszerzyły się z przestachu.

Pierwszy raz od wypadku z psem znalazł się tak blisko dziecka.

— Ja to uczyniłem?... Jak mogłem?... Jak mogłem?... — szeptał, patrząc na czerwoną pręgę, przerywnąjącą policzek.

Zdawało mu się, że na własnej twarzy wyciskają mu piętno rozpalonem żelazem.

— Co działo się wówczas ze mną?... Byłem pijany, czy szalony?—powtarzał.

Nie nie wiedział. Ale w przeświadczeniu moralnem poczuł to jedno jasno i niezaprzeczenie: że gdyby był młodszą choć w części kochał tak, jak pierworodną, a choćby tyle jak powinien ojciec kochać własne dziecko, to nie byłby życia jej narażał na igraszkę trafu, psu zostawiając wybór między córką, a lalką.

Chciał się zbliżyć—lecz nie śmiał.

Aż na piastunkę zwrócił oczy, choć od niej czekając przebaczenia i zachęty.

Własne to dziecko wydawało się tak obce—i lubo tak małe, wydawało się myślącym sędzią: zdumionemi oczętami niemal pytało czego chce, i załękniome usuwało się, nie uśmiechając nawet do Jani, która na w pół drzemała.

Nagle jednak Adam się przygiął, jakby złamanym—i małą rączkę do ust przycisnął pierwszy raz w życiu.

Krótki, nierówny oddech szarpał mu piersią.

— Ależ—mała zziębnięta!—rzekł jak zdławiony, drobnej rączki nie puszczaając z dłoni. — Tu bardzo zimno... za zimno... źle napalone...

Łzy głos przecięły, tryskając z oczu—i załkał.

Po chwili obejrzał się po pokoju.

— Trzeba dzieci zaraz do dworu przenieść,—powiedział.

Poczem jeden szal zarzucił na Janię, a drugim osłonił Cesię.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Żusia, powieść przez T. T. Jeża.

Do lepszych zdobyczy na polu literatury nadobnej w czasach ostatnich niewątpliwie należy najnowsza powieść znakomitego powieściopisarza T. T. Jeża p.t. *Żusia*, gdzie autor nielitościwie schłostał pewną warstwę społeczną galicyjską, której całą nicieś duchową w jaskrawych i bynajmniej nie przesadzonych barwach odwzorował przed czytelnikiem. Jeden z t. z. hrabiów galicyjskich pan Alfred Piecki, którego niedaleki przodek wprost imci panem Piecem się mianował i prawdopodobnie nie miał najmniejszych aspiracji do korony hrabiowskiej, może dać dobre pojęcie o tej klasie ludzi, niedawno stosunkowo powstałej na horyzoncie społecznym. Typem ich w istotnem znaczeniu tego słowa nie może on służyć, bowiem nie zestrzela w sobie wszystkich znamiennych cech tego gatunku arystokracji, atoli charakterem jest bezwzględnie niezmiernie trafnie i plastycznie pochwyconym z rzeczywistości.

Najwybitniejszą cechą tego człowieka jest prze-rażająca pustka w głowie i piersiach; nie jest on z natury swej czynnie szkodliwym społeczeństwu, ale staje się w niem jednostką zupełnie zbyteczną, dzięki swemu lenistwu umysłowemu i fizycznemu i brakowi jakiegokolwiek zacniejszych idei i pragnień. Hr. Alfred, posiadający dobra ziemskie w Galicyi, mieszka stale w Wiedniu nie dla jakichś interesów, z musu, ale ot tak, dla zwyczaju; jakimże byłby on arystokratą, gdyby w Wiedniu dłużej nie przesiadywał i nie zawierał stosunków towarzyskich ze sferami wyższymi? Usłudźni przyjaciele, mający własne przedewszystkiem widoki na cel, usiłują wypromować go na ministra, czemu hrabia bynajmniej się nie opiera, ale też ze swej strony nie czyni żadnych zgoła zabiegów w tym celu, odpowiadając stale przyjaciołom, że teki ministerjalnej, gdy mu ją ofiarują, nie odrzuci, ale sam palcem nie kiwnie nawet, by ją otrzymać. Istotnie przez dłuższy czas zachowuje się zupełnie biernie w tej sprawie, którą mozolnie popychają naprzód przyjaciele, usiłując wytworzyć trwałą dla niej podstawę w formie stosunku miłosnego pani hrabiny Pieckiej z pewnym wpływowym bardzo księciem. Atoli te wszystkie kombinacje polityczne przyjaciół pękają jak bańka mydlana, gdyż najniespodziewanej w świecie hrabina pozostaje zupełnie nieczułą dla księcia, nie dając się opłacać siecią intryg, zastawioną misternie przez przyjaciółki w porozumieniu oczywiście z przyjaciółmi hrabiego. Jednakże nie należy sądzić, że hrabina oparła się pokusie dzięki poczuciu swej godności kobiecej i zrozumieniu obowiązków uczciwej żony i matki, bynajmniej: oparła się, bo nie miała chęci i odwagi przerwać dotychczasowej jednostajności życia i rzucić się na tępejną awanturniczych przygód arenę; była to bowiem istota jak i jej mąż absolutnie rozleniwiła, która czytywała wprawdzie z ciekawością najdrastyczniejsze romanse francuskie, ale nie odczuwała najmniejszej chęci naśladowania ich bohaterów, przenosząc nad wszelkie wrażenia wygodne łóżko i ciepły kąt w domu. Wobec tego sprawa zrobienia hr. Alfreda ministrem, a choćby nawet i ambasadorem w jakiej podrzędnej stolicy upadła stanowczo, gdyż kandydat prócz pięknej żony absolutnie żadnych innych kwalifikacji w tej mierze nie posiadał. Tu atoli sytuacja nagle zmienia się całkowicie: bierny dotychczas hr. Piecki poczyną działać na własną rękę, chcąc bądźco bądź otrzymać tę ministerialną w tem przekonaniu, że, zostawszy ministrem, rozpocznie akcję dyplomatyczną przeciw Chinom, które, jak to mu niedawno podszeptał paroch prowincjonalny, maniak polityczny, staną się wkrótce zbyt groźnemi dla Europy; przejęty tą myślą hrabia traci cały majątek na dopięcie swego celu, w czem gorliwie pomagają mu ci, którzyby chcieli przy cudzym ogniu własną pieczęć upiec. Akcja cała kończy się przybyciem na wieś rozczarowanego w końcu i zadłużonego ogromnie hrabiego i rozpoczęciem natomiast przez jego rządzącego kaniowskiego akcji ratunkowej w celu uratowania zagrożonych licytacją dóbr hrabiostwa.

Z tego streszczenia pobieżnego widzimy, że głównymi postaciami w powieści są Pieckcy, gdy tymczasem tytułowa bohaterka Żusia, ich córka, czynniejszą rolę grać poczyną dopiero przy samym końcu opowiadania; przez cały zaś ciąg jego autor kreśli dość zresztą pobieżnymi rysami jej dziecięctwo i wychowanie, spoczywające w rękach wieśniaczki Justyny, starej sługi hrabiostwa wpajającej w nią bezwiednie zupełnie miłość zakątka rodzinnego. Żusia, będąc jeszcze małą dziewczynką, poznała dotkniętego kalectwem nóg i mowy Prokopa, syna rządcy kaniowskiego, i uczuła ku niemu żywą sympatię, która się z czasem zamieniła w miłość, połączoną z uwielbieniem dla poetyckiego talentu chłopca; to też leżące na śmiertelnej pościeli matce Prokopa obiecuje zostać żoną i opiekunką kaleki.

Obok tych głównych postaci występuje na dalszym planie cały szereg podrzędnych, skreślonych bardzo udatnie, zwłaszcza wyobrażających świat wielkomiejski figur; charakterystycznym jest tedy wielce inny np. kandydat na ministra hrabia Łopaciński, albo brat hrabiny Pieckiej, ludzie należący do t. z. złotej młodzieży, goniącej resztkami grosza i chwytającej się wszystkiego prócz pracy uczciwej, by zapewnić sobie egzystencję w przyszłości; doskonale również wykonana jest postać księżny Lin-

denstejn, rajfurki salonowej *con amore*, usiłującej skłonić hrabinę do zawiazania romansu z młodym księciem, Manfredem. Całości dopełniają dobrze z natury pochwycone i w sympatycznym przedstawione oświetleniu wyobraźciele i wyobraźcielnicy mieszkańców prowincji, jak np. państwo Kaniowsy, miejscowy paroch z rodziną i t. d. Wogóle wszystkie te charaktery skreślone są bardzo udanie i wystawione w powieści takimi, jakimi są w rzeczywistości; możeby jaki optymistą nie wierzył w możliwość istnienia niektórych osobników, takich np., jak wiedeńskie otoczenie hrabiostwa Pieckich z księżną Lindenstejn na czele, nam się atoli wydaje, że pomimo ciemnych barw, użytych przez autora, o przesadę obwinąć go nie można, powieść jego—to w istocie straszna satyra, ale niestety, słuszna zupełnie. Są ludzie, co, jeśli znoszą satyrę w powieści, to tylko lekką swobodną, wesołą, potrącającą uśmiechem o codzienne przywary i śmieszności natury ludzkiej, bynajmniej nie znosząc sarkazmu, ukazującego wrzody społeczne, i ze wstrętem odwracają się od nich, zapominając, że są one objawem zanadto poważnym i że temsamem należałoby baczniejszą zwrócić na nie uwagę. Nie pożądamy tylko pogodnych, słonecznych obrazków w powieści; więcej nam stokroć może przynieść korzyści satyra, nielitościwie chłuszczająca ogół, byleby tylko wypływała z miłości i wolną była od wszelkiego subiektywizmu. Kończąc te słów kilka, nie możemy powstrzymać się od wytknięcia haniebnie prowadzonej korekty powieści; niedbalstwo pod tym względem, jest tu tak wielkie, że nieraz trudno zdanie zrozumieć, nie mówiąc już o pojedynczych wyrazach, poprzekręcanych najfatalniej; czyni to wrażenie takie, jak gdyby książka wcale korygowana nie była.

J. Nitowski.

List z Anglii.

Z dniem rozwiązania parlamentu, które nastąpiło w pierwszych początkach ubiegłego miesiąca, miało całe zawrzało ruchem nie tylko wyborczym, bo zjazd ludzi ze wszystkich stron kraju jest tu zawsze z powodu tej okoliczności ogromny. Na kontynencie nazywają anglika flegmatycznym, trzeba przecież być tu o tej porze, aby się przekonać jak ci poważni ludzie umieją się rozruszać, a w tym roku było to liczniej i świetniej niż kiedykolwiek, bo zjazd zgromadził wielce dostojnych gości. Zebrało się razem dwudziestu dwóch książąt krwi różnych krajów, a między nimi syn emira Afganistanu ze swoją azyatycką swiatą, rozrzucający na wsze strony podarki i to niemałej ceny. Na pożegnalnej wizycie u królowej Wiktoryi w Windsorze młody książę ofiarował tej pani w imieniu ojca szczerokłą szkutkę, wysadzaną drogiemi kamieniami w sposób taki, że każdy z nich mógł być wyjętym i użytym pojedynczo jako ozdoba, dalej enuchowie w strojach wchodnich wnieśli dwie ogromne bryły lapis lazuli, czterdzieści pysznych szalów afgańskich i... 800 skór baranków astrachańskich. Królowa Wiktorya dziękowała za klejnoty, dziękowała za materyał na kożuszki dla wszystkich jej dworzan, obdarzając w zamian emira orderem Podwiązki, a młodego księcia wielką wstęgą orderu Łaźni.

A zbiegła się ta uroczystość ze śmiercią uczonego badacza Afryki, Józefa Thompsona, młodego jeszcze, bo liczył dopiero lat trzydzieści kilka, a który już oddał krajowi nie małe usługi. Już jako student na uniwersytecie marzył o zwiedzaniu dalekich stron świata i dwudziestoletni młodzieniec, który ledwo co ukończył nauki, zamiast garnąć się jak inni do poznania świata tego, który bawi się, używa, on puścił się do Afryki z wyprawą, której kierownictwo zostało mu powierzone przez londyńskie Towarzystwo geograficzne. Gdy Johnston, uczony mąż, który był z ramienia Towarzystwa jej naczelnikiem, umarł przez wpływ klimatu, on odważnie dostał się na jego miejsce do mało zbadanej krainy jezior, a gdy powróciwszy do kraju wydał dzieło, opisujące jego podróże, uznano go za

podróżnika wyższego już znaczenia i wkrótce Towarzystwo wyprawiło go w stronę jeziora Wiktorya Nyaenza i pierwszy to był europejczyk, który zwiedził Afrykę wschodnią, a opis i tej drugiej wyprawy został tak wysoko ocenionym, że chociaż już czuł się zmęczonym i pragnął odpoczynku, Towarzystwo pchało go gwałtem naprzód. Zwiedził też Maroko, potem Afrykę południową, zawsze umiarkowanie skierowywał uwagę na to wszystko, co mudawało wiedzę nie szczegółów, ale całokształtu ziem zwiedzanych.

Kongres geograficzny, który został uchwalonym jeszcze w 1891 r. na kongresie w Bernie, odbył się w Londynie przy znacznym zjeździe uczonych z tego zakresu wiedzy, a było tu co słyszeć i widzieć, bo geografowie angielscy, o których można powiedzieć iż trzymają prym w staranności o wszelkie pomocnicze tu środki, zaopatrzyli kongres wystawą map, planów, zdjęć fotograficznych z rozmaitych okolic kuli ziemskiej na stopę wyższą, niż to było w Bernie. Wystawa kongresu została urządzoną w gmachu ogromnym, rzecz można olbrzymim, w Instytucie Królewskim. Mowy, wygłaszane na posiedzeniach, drukowane są niemal dosłownie w dziennikach londyńskich: w Daily News, w Sztandarze i innych, a dodać trzeba na pochwałę społeczeństwa angielskiego, że czytane są nie tylko przez samych uczonych. Ogół interesuje się tu sprawami takimi i gdy w zeszłym miesiącu przypadła czternasta rocznica otwarcia Pałacu Kryształowego, ludzie wszelkich klas zajmowali się tem bardzo i przypominano sobie chwilę jego otwarcia jako przybytku narodowego sztuki i postępu cywilizacji. Wznoszono go też blisko dwa lata z materyałów powszechnej wystawy londyńskiej w 1851 r. Koszt wyniósł bajeczną jak dla nas sumę, 1,500,000 funtów szterlingów i po dziś dzień żaden gmach z tego zakresu nie może się równać z tą wspaniałą budowlą, którą pyszni się Anglik każdy i nie bezpodstawnie.

Powzięto tu zamiar wzniesienia na jednym z placów Londynu pomnika Kromwellowi, ale narody wyższej cywilizacji posiadają pewną delikatność, można powiedzieć wrodzoną, która staje się taktem w postępowaniu i Izba gmin ze względu na Irlandyę odrzuciła ten projekt niemal jednogłośnie. Stańcie przeciwko powiniennym inny ku czci uczonego naturalisty, Henryka Tomasza Huxleya, który zmarł niedawno. Człowiek to był syt już życia, bo przeszło siedemdziesięcioletni, kształcił się na lekarza i nawet pracował początkowo na tem polu, ale duch techniczny gdzieś chęć i gdy z obowiązku służbowego jako lekarz okrętowy przebywał Ocean Spokojny i Archipelag Indyjski, umysł jego zwrócił się w stronę badań przyrodniczych. Począł studiować faunę i florę morską, więc też powróciwszy do Londynu został profesorem historii naturalnej w kolegium górniczym i wkrótce dał się poznać szerszej publiczności przez dzieło: „Stanowisko człowieka w przyrodzie“.

Rzecz była głęboko brana i zarazem bardzo szlachetnie, bardzo pięknie skreślona, obrano go też prezesem Towarzystwa popierania nauk, a zamierzany w pracy swojej rak nie zakładał i zostawił po sobie wielkie dzieło, „Nauki przyrodnicze i zagadnienia, jakie wywołują“, a wkrótce potem rzecz niemniej cenioną, „Fizyografia, wstęp do nauki o przyrodzie“. Praca, nauka, były niejako żywiołem jego istnienia, pióro jego nie spoczywało nigdy i zostawił też po sobie dzieła z rozmaitego zakresu wiedzy. Młody jeszcze, bo było to w 1863 r., wydał słownik języków indyjskich i azyatyckich i za dzieło to, do którego nie miał żadnych podręczników i wszystko sam zdobywać sobie musiał, przyznano mu zaszczytny tytuł honorowego doktora uniwersytetu w Glasgowie.

Anglia straciła w tym samym czasie uczonego też przyrodnika, profesora botaniki na uniwersytecie w Cambridge, Babingtona. Był on zarazem członkiem londyńskiego towarzystwa nauk, wszystkie też organy prasy wyraziły żal wielki nad jego stratą; trzecia z kolei śmierć znanego również w całej Anglii człowieka, księcia Hamiltona, odbiła się echem innego znaczenia. Był to krezus o jakim my pojęcia nie mamy; dochód jego roczny przynosił 360,000 funtów szterlingów i licząc na dokładniej znaną nam monetę miał on dochodu dziennego 20,000 franków.

Przecież obok tego świata bogactw, bo tak nazwać można Londyn zachodni w jego dzielnicach zamieszkałych przez krezusów, tak magnatów z pośród szlachty historycznej, jak i finansistów, jest Londyn drugi, wschodni, ten który pracuje i boryka się z życiem o kawałek chleba, aby jednak dać choć w zarysach ogólnych odzwierciedlenie tych dwóch jego połów, trzeba na to szerszego miejsca, niż list mój jeden. Srodkuje tu artyzm, bo skoro tylko otrzyma on uznanie, staje się niewyczerpanym źródłem bogactw i jest tak we wszystkich jego gałęziach; muzycy, malarze, rzeźbiarze, aktorzy nawet dochodzą tu do wielkich fortun. Tragik, o którym już wam niewątpliwie coś pisałem, Irving, daje przyjęcia, które kosztują (nie sądźcie iż żartuję) od 20,000 do 30,000 franków.

Patti zbogaciła się w Anglii tak, że cyfry jej majątku mogą się wydać u nas bajeczne, niejaka Mrs Langry, która mówiąc nawiasem, podbija publiczność więcej niżeli talentem urodą i wdziękiem niesłychanie ponętnego układu, posiada w Ameryce, z której jest rodem, dobra ogromne, a dyamenty jej mogą już stanowić fortunę nie byle jaką. Otarczy się też takim zbytkiem, że w jej kredensie i kuchni nawet wszystkie naczynia są srebrne, kąpie się też w wannie srebrnej, a nakrycie stołowe poczynając od łyżki aż do półmisek są złote. Przypyszny yacht parowy kosztuje ją półtora miliona, lecz nie sądźcie że jedynie ją jedną tak hojnie obdarzyła fortuna. Wiliam Terris, aktor i impresario, posiada w Londynie czterdzieści trzy kamienie, notabene bez grosza długu, a majątek Augusta Harris, śpiewaka operowego, szacowanym jest na pięć milionów funtów szterlingów.

Już to fortuny bywają w Anglii bajeczne. Margrabia Devonshire okrążył koleją żelazną dobra swoje, ciągnące się na przestrzeni dziesięciu mil angielskich a kolej ta posiada jeden tylko wagon, lecz jak urządzony! Margrabia pali sam na maszynie i kieruje pociągiem, w którego wagonie mieszczą się jego goście, lub rodzina, a gdy podróż ta odbywa się w nocy, co zdarza się często, tor kolejowy oświetlony jest silnymi reflektorami. Synowie pełnią służbę dróżników, córki stoją przy stacyach z chorągiewkami, a maszyna pędzi, ubiegając czterdzieści mil angielskich na godzinę i jest to rozrywka lepsza od wielu innych.

Większej przecież przyjemności użył ten szczególniejszy z pośród naszej tu gromadki, kto był na koncercie Janotówny w St. James Hall, urządzonym ku czci Chopina. Obok naszej rodaczki dała się słyszeć grą na fortepianie wielce tu dziś ceniona powieściopisarka, młoda, bardzo piękna Mrs Craigie, znana w literaturze pod pseudonimem John Oliwer Hobbs, a której powieści zaliczane są do utworów wyższej literatury, ale szczególniejszej przyjemną dla nas była chwila, gdy miss Ella Russel odśpiewała po polsku dwie pieśni Chopina. Paderewski dał w kilka dni potem koncert, jedyny w tym czasie, ponieważ jak wieść niesie zajęty jest kompozycją większych rozmiarów z motywów naszych ludowych. W jesieni, w październiku, obchodzić tu będą trziesiętletni jubileusz wystawienia na scenie londyńskiej w 1895 r. pierwszego utworu Szekspira. Była to „Komedia omyłek“, odegrana w Gray Courts Inn i przedstawienie to jubileuszowe wielce już zajmuje publiczność angielską, a będzie ono najściślej odtwarzać tak dekoracje, jak i wszelkie inne cechy ówczesnego wystawienia tego utworu.

Anglia z cziąg, można powiedzieć pobożną szanuje pamiątki stare, korona, która zdobi teraz skroni królowej Wiktoryi, a która przechowuje się w starożytnym gmachu, w Towerze, ozdobiona jest drogiemi kamieniami, które jaśniały niegdyś w koronach jej poprzedników na tronie Wielkiej Brytanii. Opaska z purpurowego aksamitu, która lśni nad czołem monarchini, liczy u dołu 119, a u góry 112 pereł, z przodu błyszczy rzadkie wielkości szafir, okolony perłami, a boki i tył ozdobione są trzema szafirami, siedmiu szmaragdami i czternastu brylantami, obok tego wszystkie kamienie otoczone są pomniejszych brylantami. Nad wielkim szafirem wznosi się krzyż maltański z ogromnym rubinem, który niegdyś zdobił hełm Henryka V w wielkiej chwili dla narodu angielskiego: w bitwie pod Azincourt, a po nad opaską błyszczy łąki i lilie z brylantów, liście dębowe i żołędzie z pereł, i tak w koło łąki, krzyże, razem też korona ta mieści olbrzymi

rubin, olbrzymi szafir, cztery wielkie perły, cztery rubiny i dwadzieścia sześć małych rubinów, dwieście siedemdziesiąt trzy małych pereł, jedenaście szmaragdów, razem 1,273 dyamentów szlifowanych w rozety, 1,363 brylantów, 272 pereł. Lśni też ona tysiącami blasków, że przecież nie jest lekka, zrozumieć można, ale na tym świecie nie darmo się nie dostaje i wszystko okupić trzeba mytem jakimś. Królowa Wiktorya przez zaćność swoją, przez szlachetne życia pojęcie umie przecież znaleźć sobie dość siły do dźwigania tego co jest obowiązkiem a co jej się zatem wypłaca cześcią ludzką i uczuciem słodkim spełnionej powinności. Istnieje w Anglii wersja, która zostanie w historii, że tak miała się kiedyś wyrazić.

Henryk.

Nowa Zelandya i jej kobiety.

Nowa Zelandya jest jeszcze pod względem cywilizacyjnym nowym krajem, dlatego też nie należy się dziwić, że w Europie o jej stosunkach mało pewnych posiadamy wiadomości. Może więc interesujące będą dla czytelników Bluszczy następujące uwagi i spostrzeżenia zebrane przez panią Chatterton, oddawna zamieszkałą w tym kraju.

Nowa Zelandya leży w odległości około 1,200 mil angielskich od Australii, z kądem przeprawa po bardzo zwykłym burzliwym morzu, trwa od czterech do pięciu dni. Nowa Zelandya składa się z dwóch wysp, z których każda ma 500 mil angielskich długości, a powierzchnia ich dorównywa wielkości Wielkiej Brytanii. Ponieważ wyspy te rozciągają się na 1,000 mil angielskich od północy ku południowi, panuje na nich różnorodny klimat. Na północy klimat i roślinność są prawie podzwrotnikowe, wielkie drzewa kameliowe rosną w gruncie. Magnolie, azalie, rododendrony, i wiele innych roślin spotykanych w Europie tylko w cieplarniach, kwitną tam przez cały rok w ogrodach. Araukarye wystają tam na olbrzymie drzewa; palmy, paprocie, cytryny i pomarańcze rosną w wielkiej obfitości. Dalej ku południowi znaleźć można uropejskie drzewa, jak sosny, jodły i świerki. Tysiące morgów pokrywają wspaniałe lasy krajowych drzew, które tworzą ze swym bujnym podkładem jedną z najwybitniejszych piękności Nowej Zelandyi, lecz corocznie w pewnej części ustępować muszą przed cywilizacją.

Nowa Zelandya odkryta została w 1642 r. przez hollenderskiego żeglarza Tasmana, lecz wojownicze usposobienie krajowców uniemożliwiło wylądowanie.

W 1769 r. wylądował tu kapitan Cook, pierwszy europejczyk, któremu powiodło się wejść w przyjazne stosunki z krajowcami Maori. Następnie nawiedzali Nową Zelandyę łowcy wielorybów, a w 1814 roku trzej misjonarze wylądowali w zatoce wyspy ze swoimi rodzinami. Większa część ludności stopniowo przyjęła chrześcijaństwo, a dzikie obyczaje ludożerców zginęły. Stopniowo też koloniści zajęli kraj cały. Na nieszczęście znalazły się pomiędzy nimi niemoralne, rozpustne żywioły, oraz awanturnicy, którzy korzystali ze sposobności, ażeby wydrzeć prostodusznym krajowcom znaczną część ich posiadłości, wzamian za broń lub wełniane wyroby. Wkrótce uznano nagłą konieczność ochrony dla Maori przeciw sobie samej. W 1849 r. dokonana została aneksja kraju przez Wielką Brytanię, która ustanowiła tam swój rząd. Pomimo licznych zaburzeń i wojen, od tej chwili spostrzegamy ciągle postęp, tak pod względem kolonizacji jak i cywilizacji. Powstały w tym czasie miasta Auckland, Wellington, New Plymouth, Nelson, Christchurch i Dunedin. Od r. 1876 Nowa Zelandya stanowi jednolitą państwo ze stolicą Wellington. Gubernatora mianuje królwa Anglii na lat pięć. Służy mu prawo veto w prawodawczym zgromadzeniu, lecz rzadko kiedy użytek z niego robi. Kraj posiada izbę panów i izbę deputowanych. Liczba mieszkańców wynosi około 700,000.

Pomiędzy pierwszymi kolonistami znaleźli się ludzie myślący, wysoko ukształceni, którzy pomimo przywiązania do tradycji swej ojczyzny, silnie przekonani byli, że w nowym kraju, którego warunki życia w wysokim stopniu różnią się od stosunków starego świata, konieczne było pewne przystosowanie się, aby naród poprowadzić do zupełnego, pomyślnego rozwoju. Nie zerwano z przeszłością, lecz nie hołdowano jej niewolniczo.

Za pierwszy konieczny warunek uznano dać dobre ukształcenie wszystkim warstwom społeczeństwa. Każda prowincja urządziła tę sprawę, według własnego zapatrywania się. W 1877 r. różnorodne systemy podegnięto pod jeden państwowy system.

Szkola jest przymusowa, bezpłatna, bez wykładu religii. Jeżeli tylko w jakiej miejscowości 10 do 12 dzieci zebrze można, rząd jest obowiązany urządzić szkołę. Do elementarnej szkoły kolonii uczęszczała dzieci różnych stanów. W większych miastach są gimnazja dla chłopców i dziewcząt, dzieci szkół ludowych mogą uczyć się tam bezpłatnie, jeśli otrzymają nagrodę na konkursach. Dziewczynki nie ustępują chłopcom pod względem pilności i chęci wiedzy, a przy rocznych konkursach, wychodzą często zwyciężko. W gimnazyach wykształcenie wyrównywa mniej więcej systemowi znanych angielskich szkół w Eton i Rudby.

„W mieście Nelson, w którym zamieszkuje“ mówi pan Chatterton „liczącem 7,000 mieszkańców znajduje się gimnazjum dla chłopców i dziewcząt, a każde z nich liczy około 80 uczących się. Pomiędzy obydwoma szkołami istnieje przyjazne współzawodnictwo. Corocznie około Bożego Narodzenia w obecności rodziców i przyjaciół uczących się, oraz licznych żywo zainteresowanych postępowaniem dzieci w nauce odbywa się rozdanie nagród. Nauczyciele i nauczycielki zasiadają na katedrze z akademicką powagą, rektorowie mają przemowy, rektor żeńskiego rodzaju ma prawo mówić pierwszy. Mowy są po większej części bardzo zajmujące i do okoliczności zastosowane. Płaca przy gimnazyach jest bardzo dobra; rektorka otrzymuje sześć do siedmiu tysięcy marek rocznie“.

„Jak znaczny jest postęp pod względem warunków wychowawczych, stosunkowo w krótkim czasie, stwierdzić mogę własnym doświadczeniem“ mówi p. Chatterton. „Najlepsza wyższa szkoła dla dziewcząt w mieście utrzymywana była przez kobietę nie posiadającą żadnych w tym kierunku kwalifikacji, bankructwo męża skłoniło ją ku temu. Lecz i tu, ukształcenie stało na wyższym daleko stopniu, niż przy założeniu kolonii, gdy dzieci otrzymywały naukę od swych matek, w przerwach pomiędzy obieraniem kartofli, a szorowaniem podłogi. Przypominam sobie wnuczkę pewnego angielskiego hrabiego, z najwykwintniejszymi arystokratycznymi manierami, która zaręczywszy się z oficerem angielskiej armii zmuszoną była prosić skrycie sierżanta pułku, by ją nauczył pisać, gdyż inaczej nie byłaby w możności skreślić swoich listów do narzeczonego“.

Wykształcenie w Nowej Zelandyi nie kończy się na gimnazjum; państwo posiada także uniwersytet, który udziela akademickie stopnie kobietom i mężczyznom, na zasadzie odbytych egzaminów a stopnie te dorównują zupełnie stopniom uniwersytetów Wielkiej Brytanii. Koszta otrzymania stopnia bardzo są nieznaczne, a więc każdy mający odpowiednio uzdolnienie, stopień akademicki otrzymać może. Wielka liczba młodzieży tak męskiej jak i żeńskiej wstępuje do uniwersytetu corocznie i większa ich część otrzymuje rozmaite stopnie naukowe.

Zwracającym uwagę jest fakt, że ilość dziewcząt przyjmujących udział w wyższym wykształceniu wzrasta się z roku na rok. Zauważono przytem, że konkurencja dziewcząt bardzo jest korzystną dla chłopców i młodych ludzi. Rzecz naturalna, że otaczają oni najwyższą cześcią kobiety, mogące ich przypuszczalnie wysadzić z siodła.

Nigdy się tu nie zdarza, ażeby młodzież nie mająca zamiaru pracować poważnie uczęszczała do uniwersytetu, gdy tymczasem w Europie młodzi ludzie często posyłani są do wyższych zakładów naukowych, pomimo braku chęci do nauk, a przez to czas ich tylko straconym bywa. Pokazuje się z tego, że warunki wykształcenia w tej odległej kolo-

nii bardzo są zadawalniające, a kobiety z wdzięcznością uznać powinny przysługujące im przywileje. Jednakże wiele jeszcze należałoby zmienić. Ośmastoletnie doświadczenie nabyte w ludowych szkołach, pozbawionych religijnego nauczania, jest niemałego znaczenia. Jedni obawiają się wprowadzać jakiekolwiek zmiany, lecz przeważna liczba ludzi zajmujących się kwestją wychowania odczuwa, że jest ono niezupełne, bez wykładu moralności i religii i stara się usilnie o te wykłady choćby bezwyznaniowe: „Jesteśmy przekonani, że niepodobna oczekiwać od dzieci wychowanych bez wiary w Boga, aby odróżnić umiały złe od dobra. W kolonii Wiktorya ilość przestępstw dokonanych przez małoletnich znacznie wzrosła; a prasa jak również więcej wykształcone i oświecone żywioły miasta wskazują jako przyczynę złego bezreligijne wychowanie i kładą nacisk na potrzebę choćby bezwyznaniowego wykładu religii.“

Rzecz naturalna, że łatwiej w nowym kraju robić doświadczenia (prawodawcze). Krok za krokiem poddano się żądaniu, opierając się na demokratycznych zasadach. Robotnik ma wysoką płacę za dzień roboczy ośmiogodzinny. Za zwykłą robotę otrzymuje dziennie sześć marek. Ludzie mieszkają wygodnie, jedzą dobrze, piją nieraz za dobrze nawet i dobrze są odziani. Usługa sklepowa tak żeńska jak męska, ma prawem zabezpieczone jedne swobodne popołudnie w tygodniu, a przytem niedzielny odpoczynek całkowity. Dla usługi sklepowej żeńskiej umożliwione musi być siedzenie przy zajęciu.

Ostatnie prawodawcze doświadczenie interesujące zwłaszcza kobiety nastąpiło w 1893 r. prawo głosowania nadane zostało wszystkim kobietom od 21 roku życia.

W jaki sposób doszły kobiety do prawa głosowania? Przez wiele lat miały one w parlamencie Nowej Zelandii gorliwych obrońców, którzy na każdym posiedzeniu wprowadzali tę sprawę i używali całej swej wymowy w tym celu. Głównymi przewodcami tego ruchu byli: Sir J. Hall, sir H. Atkinson i Mr. Ballance, ludzie wysoko ukształceni i uzdolnieni. Po za obrębem izby sprawa ta znalazła wielu zwolenników, zbierano się w tym celu na rozprawy i przedstawiano parlamentowi prośby z licznymi podpisami, Stronnikom prawa głosowania kobiet wydawało się niesprawiedliwością, ażeby każdy dwudziestoletni - letni mężczyzna choćby nawet niewykształcony lub niemający dobrej opinii (z wyjątkiem uwięzionych lub przebywających w zakładach obłąkanych), miał prawo głosowania, jeśli tylko przebył 12 miesięcy w kolonii, a 3 miesiące w jednym i tym samym miejscu podczas, gdy żadna kobieta nawet o wysokim wykształceniu, nieskazitelnej opinii i z olbrzymim majątkiem, nie miała prawa wyboru osobistości, którą uważałaby godną zaufania, aby jej powierzyć sprawę państwa.

Odczuwano, że wybory tylko mężczyźni, nie odpowiadali demokratycznej myśli: „rząd narodu dla narodu“, gdyż kobiety stanowią także część narodu. Jeśli więc każdemu mężczyźnie jako członek narodu przysługuje prawo głosu, w takim razie prawo to i na kobiety rozciągnąć należy.

Myśl ta znalazła poparcie w stowarzyszeniu wstrzemięźliwości prawo przeszło kilka razy przez izbę niższą, lecz za każdym razem znalazło opór w izbie wyższej. W końcu jednak i w izbie wyższej projekt przeszedł większością głosów (1893 r.), a w izbie niższej przyjęty, stał się prawomocnym.

Gdyby się kto zapytał czy kobiety Nowej Zelandii są zdolne do głosowania, otrzymał by odpowiedź, w znacznej liczbie—tak, lecz po części—nie. To samo jednak można powiedzieć o wyborcach męczyznach; wielu z nich do tej pory nie ma pojęcia o odpowiedzialności jaką wkłada na nich prawo głosowania. Wiadomo, że dopóki odpowiedzialnością nie obarczy się narodu, nie wydaje się on zdolnym nieść ją na swoich barkach; gdy jednakże czuje się obowiązany do tej odpowiedzialności, budzi się w nim pragnienie okazać się godnym zaufania. Dochodzi się jednak do tego tylko stopniowo. Zanim prawo to przeszło, słyszeć się dawało w Nowej-Zelandii stare argumenty, przeciwko prawu głosowania; kobiety nie są zdolne do tego, prawo to wprowadzi tylko niesnaski rodzinne, a prócz

tę niewłaściwą byłaby obecność kobiet w izbach do głosowania. Jakież obrót wzięła ta sprawa w Nowej Zelandii?

Gdy tylko prawo przeszło, znaczna część kobiet wpisała się do list wyborczych. W dzień wyborów okazało się, że liczba kobiet pragnących głosować prawie równa była liczbie mężczyzn.

W całej kolonii mówiono o tem, jak prawidłowo upłynął dzień wyborów. Z miasta Auckland nadeszła następująca wiadomość: „Wszystko odbyło się tak, jak gdyby kobiety posiadały prawo głosu od tak dawna, jak nasza kolonia posiada odpowiedzialny zarząd. Przez cały dzień, nie widać było ani jednego pijanego, a kobiety wchodziły i wychodziły z izb wyborczych nie będąc zupełnie niepokojone.“ W taki sam sposób, odbyły się wybory w mieście zamieszkałym przez p. Chatterton. Główne izby wyborcze natłoczone były przez cały dzień. Zainteresowanie się wynikiem wyborów silniejsze było, niż kiedykolwiek; jednakże wszystko szło utartym trybem, a kobiety dokonywały wyborów z taką samą łatwością, z jaką spełniają swe obowiązki na publicznych posadach.

Wybór jest tajemny i nikt nie jest przymuszony wymienić nazwisko swego kandydata. Znane są różne wypadki, w których kobiety głosowały inaczej, niż mężczyźni tej samej rodziny. Z czasem mężczyźni przekonują się, że sprawiedliwym jest gdy ich żony i córki na równi z synami wyrabiają w sobie niezależny sąd o publicznych sprawach i wystąpić mogą w ich obronie. Z upływem czasu, wyrobić się muszą w tym kierunku.

W ogólności przewagę będą mieli ci, którzy uznają że mężczyźni mający żony i córki, stają się silniejsi przez głosy swych żeńskich członków rodziny. Lecz ten argument stawiany tak chętnie przeciwko prawu głosowania kobiet, jest w rzeczywistości silnym argumentem w jego obronie. Fakt ten będzie jedynie możliwym w rodzinach, których członkowie ściśle są z sobą zjednoczeni, a ponieważ moralna potęga kraju, zależna jest po większej części od trwałości i spójności związków rodzinnych, a zatem wysokiego znaczenia jest dążność, ażeby rodzina silnych miała przedstawicieli w parlamencie. Dawniej każdy próżniak, któremu dobrobyt kolonii zupełnie był obojętny, jak również ten, który wypadkowo zamieszkiwał kolonię w ciągu 12 miesięcy, miał głos równie ważny w prawodawstwie kraju, jak głowa rodziny i to ze wszystkimi jej przywilejami i odpowiedzialnością swego stanowiska; dziś rodzina, posiada przynależny jej największy wpływ na bieg spraw ogólnych.

Za nim nastąpiły pierwsze wybory, w różnych miastach, miały miejsce zebrania kobiet, na których wykladały sobie prawa i obowiązki, które nakładała na nie nowa ustawa wyborcza, starały się wpoić w każdą z uczestniczek tych zebrań przekonanie że koniecznością jest, ażeby składały swe głosy sumiennie, z przeświadczeniem o ich doniosłości. Głównie kładły nacisk na to, ażeby kobiety głosy swe, dawały tylko mężczyznom, którzy odznaczają się szlachetnym charakterem i prowadzą życie nieskazitelne. Sądziły one że w ten sposób najlepiej usłużą interesom i dobrobytowi państwa i że wprowadzą do polityki nowy moralny żywioł. W dzienniku „Morning Herald“, wychodzącym w Sydney, spotykamy następującą uwagę po zakończeniu wyborów: „Obroncy prawa głosowania kobiety sądzili, że wprowadzą przez to stanowe ulepszenia do polityki. Tak się też i stało. W ogólności kobiety przeniosły osobistą wartość człowieka ponad stronnictwo i po większej części, dawały głosy za ludźmi prawego charakteru i nieskazitelnej opinii. Skutkiem tego ostatni parlament, nosi na sobie bezspornie lepsze piętno, rękojmi jak poprzedni. Będzie on wybitnie czynny, światły i godny.“

Niepodobna jest dotychczas przewidzieć, jaki ostatecznie skutek wyrwie na kolonii prawo głosowania kobiet. Wyniki jednorazowych wyborów, nie wystarczają, tem więcej, że kobietom, nie pozostawiono wówczas czasu na przygotowanie się do wykonywania nowego prawa. Również nie można rozstrzygnąć jeszcze kwestyi czy dojdzie kiedykolwiek do tego, aby kobiety wybierano do parlamentu, co zwykle wzbudzało obawę. Fakt ten nie wydaje się niemożliwym, jednakże obecnie jest bardzo nieprawdopodobnym; wymagał by bowiem, ażeby pew-

na liczba wybitnie uzdolnionych kobiet otrzymała większość głosów.

Taka większość głosów, nie może być przeprowadzona przez same kobiety; potrzebnem byłoby tu współdziałanie, a zatem zupełne przekonanie mężczyzn. W Londynie wybierano często większością głosów kobiety do szkolnych komisji, gdyż przekonano się, że wpływ ich oraz doświadczenie dla ukształtowania się szkolnych stosunków wysokiej jest wartości. Ponieważ prawodawstwo jest w związku z wieloma sprawami, odnoszącymi się do moralnego położenia kobiet i dzieci, powinien nadejść czas gdy mężczyźni, uznają za słusne i korzystne współdziałanie wyjątkowo uzdolnionych kobiet w tych kwestiach. Zawsze jednak należeć to będzie do wyjątków, a śmieszne karykatury kobiet w parlamencie, podawane przez humorystyczne piśma zbyt są dziecinne, ażeby na nie zwracać uwagę.

„Najlepiej usłużymy dobrobytowi naszego kraju“, mówi p. Chatterton nie przez domaganie się naszych praw, lecz przez sumienne i dokładne spełnienie naszych obowiązków.

Kronika działalności kobiecej.

— Zarząd kobiecego instytutu w Petersburgu, składać się będzie z dyrektora, czterech profesorów, mianowanych przez kuratora okręgu naukowego, dwóch członków obranych przez komitet kuratorski oraz dwie inspektorki. Zarząd bezpośredni nad słuchaczkami i zarząd internatu powierzony będzie inspeceji, obranej przez dyrektora, a zatwierdzonej przez ministra oświecenia na przedstawienie kuratora okręgu naukowego. Pod władzą inspektorki, zostawać będą jej pomocnice osoby, które ukończyły całkowity kurs gimnazjum, lub równych tem zakładów naukowych. Obowiązane są one przy wstępowaniu do instytutu, zdać egzamin z języka łacińskiego, te przecieże, które otrzymały w gimnazjach patent dojrzałości, przyjmowane będą do instytutu bez egzaminu. Za prawo bywania na wykładach i korzystania z instytucji pomocniczych przy studiach praktycznych, słuchaczki wnoszą opłatę, której ilość określa minister oświecenia. W obrębie instytutu i przy studiach praktycznych w szpitalach, słuchaczki obowiązane są nosić uniform. Kurs nauk trwa lat pięć, a z tych cztery przeznaczone są na wykształcenie naukowe, piątą zaś na studia praktyczne w szpitalach lub klinikach specjalnych, w lecznicach kobiet i dzieci. Te z pośród słuchaczek, które po roku praktyki nie okazały dostatecznego postępu, mogą pozostać na rok lub dwa w instytucji na studiach praktycznych. Słuchaczki, które ukończyły dobrze kursa, otrzymują dyplomy na tytuł „kobiety lekarza“ i posiadają prawo wolnej praktyki, oraz wydawania recept ze środkami silniej działającymi, prawo zajmowania miejsca lekarzy w instytutach kobiecych, oraz w gimnazjach, pensjach i innych kobiecych instytucjach wychowawczych, filantropijnych i naukowych, oraz w szpitalach kobiet i dzieci.

— Na kursa Warszawskiego Towarzystwa ogrodniczo pszczelniczego uczęszczała w pośród 22 osób pewna liczba kobiet, a z tych skończyły z przyszanem im świadectwem kursa całkowite panie: Zofia Biedrzycka, Anna Kłyszynska, Zofia Grabowska, Lucyna Marcinkowska, Zofia Puciata (z odznaczeniem) Izabela Domejko, Marya Chłudzińska, Magdalena Żelazowska (z odznaczeniem), Eleonora Reszkowska, Jadwiga Juskiewicz, Marya Kłyszynska (z odznaczeniem). Świadectwo wyłącznie kursu pszczelnarskiego otrzymały p. p. Wanda Trepka i Ewa Sąchocka, a dodać należy, że obok tego znaczna część osób uczęszczających na kursa, uczyła się jedwabnictwa i hodowli jedwabników w Towarzystwie jedwabniczym. Wszystkie te trzy gałęzie pracy, przypadającej szczególnie na dział zajęć kobiety, powinny zwrócić uwagę pań ziemianek, bo że są pożyteczne, dowodzi już to, iż ludzie dobrej woli gorliwie poświęcają ich rozpowszechnieniu trud swój i pieniądze. P. Paulin Dąbrowski podno-

sząc wnioszek, aby Towarzystwo nagradzało corocznie te osoby z pośród praktykantów i praktykantek, które się tu odznaczają w pracy czy to w swoich, lub cudzych ogrodach i pasiekach, jedwabniarniach, złożył na ten cel 50 rs., a zarząd Towarzystwa dołączył 100. Program Towarzystwa na rok przyszły obfituje w pożyteczne inowacje i przyłączy tu nową gałąź nauczania pracy przypadającej też na dział kobiety: kurs nauki przetworów owocowych, które obecnie są sprowadzane ze stron odległych, a stosunkowo, muszą być droższe niżeli wyrabiane na miejscu. P. Rodkiewicz ofiarował Towarzystwu dwie morgi ogrodu dla użytku zarządu, który mieści się przy ulicy Wiejskiej, Nr. 12.

— Schronienie szwaczek, założone w mieście naszym przed laty kilku staraniem zaanej p. Witkowskiej, obywatelki ziemskiej, mieści się obecnie przy ulicy Brackiej, Nr. 10, a jest tu obok przytułku dla chorych, potrzebujących czasowego odpoczynku, oraz opieki i uchrony dla niezdolnych już do pracy. Zakład ten mieści obecnie stale sześć takich zmęczonych życiem pensyonarek, oraz kilku chorych anemicznych, nie zdolnych zatem do pracy terminowej, a posiada on pracownię ubiorów kobiecych, w której zajmuje pewną liczbę szwaczek, nie mogących już pracować ciężiej. Pracownia ta jest główną podporą utrzymania się zakładu i dla tego panie dobrego serca pamiętać o tem powinny. Schronienie pozostaje pod opieką warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

— Pod nazwą „Schronienie szwajcarskie“, powstała nowa instytucja dla bon i nauczycielek szwaczek, których liczba znaczna mieści się nie tylko w mieście naszym, ale ogółem w kraju. Ustawa ma na celu zabezpieczenie członkom swoim takich mieszkań i innych potrzeb życia, a zarazem i wyszukiwania im pracy.

— Młoda panna, Eugenia Seligson, warszawianka rodem, broniła przed sędziami paryskiej szkoły lekarskiej rozprawy na stopień doktora medycyny, który przyznany jej został.

— Hildegarda Ziegler, z Lignicy zdała pierwszy w państwie Niemieckim egzamin dojrzałości. Studya odbywała w Zurychu przez cztery semestra.

— W Niemczech kobiety dopuszczone są do urzędowania na kolejach, oraz obsługując telegrafów i telefonów, wkrótce ma im być otwarty i zawód aptekarski. Już parę lat temu czynione były starania w tym celu, lecz jeszcze i obecnie rzecz jest bardzo utrudniona; rektor uniwersytetu, prof. Pfeilderer wydał w d. 30 lipca cyrkularz do profesorów uniwersyteckich, iż mocą rozporządzenia ministerjalnego dopuszczenie kobiet do słuchania prelekcji zależnem jest od zezwolenia rektora uniwersytetu i ministra oświecenia.

— Dzienniki francuskie przypominają społeczeństwu swemu bohaterską postać kobiety, przełożonej siostr miłosierdzia w Tonkinie, siostry Teresy. Znajdowała się ona na niejednym polu walki, zbierając i unosząc rannych, oddając posługę ostatnią konającym, odbierając od nich zlecenia i pożegnania dla krewnych i przyjaciół. W czasie wojny z 1870 r. została ciężko ranna w bitwie pod Worth i padła zemdlna pomiędzy rannymi, wydobyta dopiero z pod zwłok kirasyerów, których opatrywała, wyleczona nie udała się jednak na odpoczynek, spełniając dalej świętobliwą pracę swoją i gdy raz granat wyrzucy z oknu nieprzyjacielskiego padł w pośrodek ambulansu pozostającego pod jej pieczą, pochwyciła go aby odrzucić na bok i odniosła już na odległość 80 metrów, gdzie eksplodował, raniąc ją ciężko. Po ukończeniu wojny udała się na inne pole pracy, do Tonkinu i tam w 1889 r. otrzymała najwyższą w kraju jej nagrodę za czyny mężstwa i szlachetności: krzyż legii honoru. W ręce jej go bardzo uroczyście na rynku stolicy Tonkinu, gdzie zgromadzone wojsko ustawiło się w czworobok a gubernator otoczony sztabem głównym, przemówił w tych słowach: „Siostry Maryo Tereso! mając lat dwadzieścia, zostałam ciężko ranną w czasie wojny krymskiej na polu bitwy pod Bałakławą i to w chwili, gdyś obsługiwała rannych. Ranę drugą otrzymałaś w bitwie pod Magenta, przecieże służyłaś armii naszej na polach Syryi, Chin, Meksyku. W bitwie pod Wörth podniesiono cię z pola walki ciężko ranną, a potem zostałam raz jeszcze ciężko ranną, unosząc granat z ambulansu, a obecnie służysz nam tu dzielnie, za co Francya winna ci jest

wdzięczność". Poprosiwszy jej, aby według przyjętego zwyczaju ukłękła, a on wydobywszy szablę, dotknął nią po trzy kroć jej ramię, mówiąc głośno: „W imieniu narodu francuskiego i jego armii udziela ci ten krzyż za dowiedzioną waleczność. Nikt nie wykaże żywota wyżej poświęconego służbie braci swych i Francji! Żołnierze! prezentujcie broń...”

— Miss Marya Ewelina Stuart otrzymała tytuł doktora medycyny od uniwersytetu w Glasgowie. Praktyka jej będzie ofiarnicza, gdyż zamierza udać się do Persji jako lekarka misjonarka.

— Angielskie stowarzyszenie rolnicze przyznało nagrody pięciu paniom za staranne i postępowe gospodarstwo w zakresie domowej pracy kobiecej. Jedną z nagród była za wyroby z mleczyny, dwie za ogrodnictwo, jedna za uregulowanie pracy kobiet służebnych w zajęciach folwarcznych, jedna za higieniczny układ życia takiejże służby. Królowa Wiktoria przesłała tym paniom wyrazy swego uznania dodając, że staranne zajęcie się kobiety gospodarstwem domowym nietylko podnosi dobrobyt rodzin, ale przykłada się do podniesienia kultury w kraju, więc jest i zasługą obywatelską.

— Stowarzyszenie ochron dla dzieci, zawiązane we Wrocławiu w 1893 r. przez Joannę Asch, posiadającą stopień doktora filozofii, zasłużyło się społeczeństwu swemu, ponieważ za jego wpływem i staraniem wzniesiono tam dziewięć ochron i seminarium kształcące ochraniarki.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie ogłaszają pierwsze wyjaśnienia w kwestyi zastosowania nowej ustawy o kartach pobytu.

— Komisya obradująca w Petersburgu nad dalszym rozwojem sztucznej komunikacji, wznowi zajęcia swoje i w ciągu nadchodzącej jesieni ukończy je całkowicie.

— Odkryto na Syberji istnienie tygrysów i w tych czasach nabyto do menażeryi Habenbeka w Hamburgu tygrysa syberyjskiego, a jeden z naturalistów zapragnawszy widzieć to mało znane zwierzę, opisał je następnie. Tygrys syberyjski jest pokryty siercią tak długą, że tworzy rodzaj grzywy, a ogon ma dwa razy grubszy, niż tygrys indyjski. Długość ta i gęstość sierci tygrysa syberyjskiego stanowi dlań uchronę od mrozów, a przechodzi on wzrostem najpiękniejsze okazy tygrysa bengalskiego. Okaz, schwytany w okręgu jakuckim, miał około trzech miesięcy, jedząc młsiwców miejscowych chował go przez dwa lata, a następnie sprzedał wspomnianej wyżej menażeryi za 1,500 rs.

— Magistrat Warszawy zamierza ogłosić licytację na zaprowadzenie oświetlenia ulic i placów Warszawy, a to stosownie do warunków opracowanej na to przedsiębiorstwo koncesyi. W razie pomyslnego obrotu tej sprawy, roboty będą rozpoczęte już w roku przyszłym.

— Wystawa ogrodnicza otwartą zostanie w d. 5 września i prace przygotowawcze już są znacznie posunięte a część ogrodu, po prawej stronie od wejścia, przeznaczona głównie dla członków Towarzystwa ogrodniczego, już jest uporządkowana. Po lewej stronie od głównego gmachu budują obszerny pawilon drewniany na podmurowaniu, a mający mieścić przedmioty okazowe,

— Jak corocznie „Ogrodnik Polski,” rozsyła tablice do sprawdzania urodzaju owoców, z prośbą o wpisanie pod właściwymi rubrykami uwag, jakie się z obserwacji zebrą dadzą. Tablice takie, zestawione z poprzedniami, wykażą z czasem historyczne postępy naszego owocarstwa i pozwolą wnioskować ile drzew owocowych w kraju przybywa, a zatem, jak rozwija się sadownictwo nasze? Odpowiedzi należy przysyłać przed dniem 1-go września do redakcyi Ogrodnika. Warszawa, ulica Mazowiecka, Nr. 11.

— Lutnia warszawska ogłosiła konkurs śpiewacki kwartetów męzkich, mających się odbyć w listopadzie. Do konkursu zapisywać się mogą wszyscy zamilowani w śpiewie. Czynnici członkowie Lutni wyłączeni są od konkursu, do warunków którego należyć będzie odśpiewanie jednego, wybranego dowolnie i drugiego zadanego utworu. Utwory zadane, rozsyłać się będą kompletem na sześć tygodni przed terminem konkursu. Nagrodę dla najlepszego kompletu, stanowić będzie 100 rs., oraz żeton pamiątkowy dla członków kompletu. Najlepszy komplet potrójny, otrzyma nagrodę 180 rs., i żetony pamiątkowe. Konkurs rozstrzygnięty będzie na popisie publicznym przez sędziów zaproszonych z pośród artystów muzycznych miasta. Zapisy wstępne na konkurs przyjmuje, udzielając objaśnień, sekretarz zarządu Lutni, p. Kosiński, w lokalu Lutni, lub w Resursie obywatelskiej, czy też w mieszkaniu własnym (Nowy-Swiat, Nr. 7). Szczegóły programu będą ogłoszone, zarząd prosi o zapisy wczesne.

— Od pewnego czasu, zaczyna się okazywać na Wiśle coraz to więcej domków pływających, które stanowią mieszkania nietylko dla osób pracujących na wodzie. Domek taki umieszczony jest na galarze i może być z łatwością przeniesiony na inne miejsce, a właściciela nie należy bynajmniej uważać za biedaka, szukającego sobie jakiegokolwiek uchrony, gdyż wartość takiego domku przedstawia co najmniej około 300 rs. Są też to albo właściciele łazienek kąpielowych na Wiśle, albo rybacy, w ogóle ludzie dla których praca na Wiśle staje się podstawą utrzymania. Znajduje się przecież pomiędzy niemi jeden, którego zaprowadziła tam fantazyja czy szczególne wyrachowanie, szewc, który ze swoim ruchomym warsztatem, płynie gdzie mu wygodniej w domku umieszczonym na galarze. Przypuścić trzeba że połów ryb ma tu głównie znaczenie swoje, bo oddaje mu się pracować i dopiero gdy nadchodzi zima, pływający domek zostaje zaprowadzonym w jakieś bezpieczne miejsce w zatoce.

— Kwestya opery w teatrze krakowskim, która miała tam być wprowadzoną na repertuar za porozumieniem się teatru lwowskiego i krakowskiego, została rozstrzygnięta przez komisję teatralną za pośrednictwem uchwały, powziętej przez tę komisję w warunkach następujących: „Komisya nie mając prawa zabronienia przedstawień operowych, czyni jednak użytek z przysługującego jej prawa odmówienia podwyższenia cen w tem przekonaniu, że 1) głównem zadaniem teatru miejskiego jest pielegnowanie dramatu i komedyi; 2) że przedstawienia opery w dwóch miesiącach, wrześniu i październiku, czyniłyby ujmę dramatowi i komedyi już dla tego, że w tych dwóch miesiącach winien się odrysować silnie repertuar całoroczny i oprzeć się na podstawie racjonalnej, a następnie, że przyniosło by to zarazem szkodę dramatowi i komedyi; 3) że wyteżenia pieniężne publiczności przez miesiące letnia, byłoby tak znaczne, że należało by zaniechać na czas jakiś przedstawień przy podniesionych cenach...” Komisya jest jednak bardzo przychylna projektowi połączenia usiłowań wspólnych obu teatrów, lwowskiego i krakowskiego, w celu wytworzenia opery, dla której w Krakowie najwłaściwszym

czasem były by miesiące letnie, z powodu przejazdu tam gości ze stron kraju innych.

— Wnuk Aleksandra Fredry, Andrzej, napisał komedię, zatytułowaną „Stowarzyszenie kobiet wyższych.” Sztuka ta odegrana w Krynicy bardzo się podobała publiczności, zyskując zarazem sąd przychylny znawców, według pogłosek ma ona być wkrótce wystawiona i w teatrze warszawskim.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych** w Królestwie Polskiem, mając zamiar wydać jako premium dla członków za rok bieżący album, złożone z reprodukcji oryginalnych rysunków i akwarel, wykonanych specjalnie na ten cel, ogłasza konkurs na warunkach następujących:

1) Rysunki, akwarelle mają być wykonane sposobem nadającym się do reprodukcji; przyjmowane zatem będą wszelkie akwarelle, gwasze kolorowe do reprodukcji chromo-fototypją, rysunki piórkiem (wszakże jednej czarności kreską wykonane) rysunki węglem, kredą, ołówkiem.

2) Prace konkursowe powinny być nadesłane do Towarzystwa najpóźniej do dnia 15-go Października r. b.

3) Tematy są dowolne, przeważnie pożądane rodzajowe, z zachowaniem przepisów cenzuralnych. Rozmiary rysunku dowolne, zwraca się tylko uwagę pp. artystów na tę okoliczność, że maximum wysokości reprodukowanej planszy wynosić będzie 28 ctm., maximum szerokości—22 ctm. lub odwrotnie.

4) Nadesłane prace będą oddzielnie wystawione w gmachu Towarzystwa.

5) Z nadesłanych prac delegowana przez komitet Towarzystwa komisya wybierze te, które za odpowiedniejsze uzna. Odnaczone w ten sposób prace nabyte będą przez Towarzystwo w cenach od 25 rs. do maximum 150 rs. za akwarellę lub rysunek. Nabyte prace stają się wyłączną własnością Towarzystwa, prawo reprodukcji również wyłącznie do Towarzystwa należeć będzie.

6) Koszta przesyłki prac, nadsyłanych na konkurs, poniesie Towarzystwo.

7) Sposób reprodukcji każdego oddzielnie rysunku, rozmiary tej reprodukcji, ilość nabyć się mających do albumu prac oznaczony komitet Towarzystwa lub delegowana z jego ramienia komisya.

8) Artysty biorący udział w konkursie poddają się bezwzględnie jego warunkom.

Warszawa, w Sierpniu 1895 r.

Uprasza się pp. artystów o składanie razem z rysunkiem krótkiej deklaracyi, zawierającej: nazwisko autora, adres, tytuł dzieła, cenę.

Sprostowanie.

W numerze 33-cim „Bluszczu” na stronicy 262, w 3 szpalcie, w wierszu 36 od dołu wyraz „zmarłego” niewłaściwie zamieszczony.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: powieść **Skaza na honorze** przez M. Betham-Edwards. Przekład z angielskiego, ark. 2 i 3.

TREŚĆ: Co życie dać może, przez M. I.—Z motywów ludowych, przez Jadwigę z Ż. S.—W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego.—List z Anglii, przez Henryka.—Nowa Zelandya i jej kobiety.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Skaza na honorze, powieść przez M. Betham-Edwards, przekład z angielskiego ark. 2 i 3.—Przegląd mód. 39 wzorów i robót z opisem. — Sekreza gospodarskie.—Dyspozycya stołu.